

**Opuszczają dom dziecka i idą na dno.
A wystarczy dać pracę, pomóc z mieszkaniem
i wspierać jak członka rodziny.**



**Kiedy młody człowiek wyprowadza się z domu, rodzina
podrzuca mu a to jajka, a to kielbasę, a to zupę w słoiku.
Młodzi z domu dziecka nie mają słoików, a gdy potrzebują
pieniędzy, pożyczają w Bocianie. Dostają tysiąc, muszą
spłacić pięć. My staramy się być dla nich tymi słoikami.**

– Ileż razy słyszałam, że niczego w życiu nie osiągnę, że będę jak moja rodzina, wpadnę w alkohol, narkotyki i skończę pod mostem – opowiada Monika. – A proszę. Mam dobrą pracę, mieszkanie, jestem zadbana, moje dzieci mają wszystko, co trzeba. Zrobiłam prawo jazdy i kupiłam porządne auto. Niektórzy mówią, że chyba to życie w Lay'sach wygrałam.

Monika: Nie zależało im

– Miałam sześć lat, gdy trafiłam do pogotowia opiekuńczego. Po roku znaleziono mi rodzinę zastępczą. Byłam w niej przez pięć lat. Myślałam, że jak mnie ktoś weźmie, to będzie kochał. Ale oni mnie bili. Raz uciekłam do kolegi, którego mamę lubiłam. Pokazałam rany i blizny. Odprowadziła mnie do domu i zażądała wyjaśnień. Usłyszała, że przecież nie chodzę głodna, a siniaki mam, bo się wciąż przewracam, jak to dziecko. Jak tylko zamknęły się za nią drzwi, dostałam kablem od żelazka, bo byłam niewdzięczna i bezczelna. Uciekłam.

Potem były kolejne placówki. Jedna gorsza od drugiej. Wychowawcy? Nie zależało im na nas. Przychodzili do pracy, bo musieli. Jedynie rozkazywali: zrób to, zrób tamto, a idź ode mnie, nie mam czasu. Myśmy tylko przeszkadzali. W jednej z placówek właściciele nocami urządzali libacje i sprowadzali obcych ludzi na popijawy.

Przestało mi zależeć na czymkolwiek. Pojawił się alkohol, złe towarzystwo, ucieczki, wagary. Narastała we mnie agresja. W wieku 13 lat trafiłam do Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego w Szczecinie.

Marianna i Piotr: bidul na 140 dzieci

– W 2003 roku byłem dyrektorem typowego bidula – opowiada Piotr Wróblewski. – Ogromny gmach, obskurne łazienki, brzydkie pokoje. Stołówka, pralnia, szwalnia i kuchnia. W nocy na 84 wychowanków przypadał jeden wychowawca. Dzieci z jednego przystanku jeździły do tej samej szkoły. Ludzie mówili: „O, jadą dzieciaki z bidula”. Takich miejsc było w Polsce mnóstwo. W niektórych mieszkało po 140 dzieci.

– Żyły w nich w oderwaniu od rzeczywistości – dodaje Marianna Sitek-Wróblewska. – Tu masz gabinet pielęgniarki, tu stołówkę, tu wrzucasz brudne ubrania. Między 7 a 8 przychodzisz na śniadanie, między 13 a 15 masz obiad, a kolację możesz zjeść do 20. Jak się spóźnisz, to nie jesz. Oni nie wiedzieli nawet, że masło kupuje się w kostkach. Przecież na talerzu zawsze leżał tylko kawałek. Chcieliśmy to zmienić.

Piotr: – Szukaliśmy sprzymierzeńców. Zebraliśmy zespół specjalistów z otwartymi głowami i wolą zmiany. Zaprosiłem prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Pokazałem, w jakich warunkach żyją dzieci. On też czuł, że zmiany są potrzebne. Zaczął się kilkuletni proces likwidowania bidula. Wspólnie szukaliśmy najlepszych budynków, które miasto mogłoby przeznaczyć na nowe, kameralne domy dla dzieci.

Marianna: – Właśnie urodziło się nam pierwsze dziecko, a ja prawie w ogóle nie widziałam Piotra, tak był w to zaangażowany. Brałam więc córkę i jechałam do niego. Pamiętam, jak dzieci z placówki prosiły: „Zabierzcie nas do domu, czy możemy z wami jechać?”.

Piotr: – Zależało nam, żeby jak najszybciej zapewnić dzieciom odpowiednie warunki. I tak na początku 2007 roku z ekipą fantastycznych pedagogów – Dorotą Czernik i Rafałem Krajewskim – założyliśmy Gdańską Fundację Innowacji Społecznej.

Tomek: Fikałem

– Matka za dużo piła, tak samo jak ojciec, ale on poszedł gdzieś w świat i w ogóle go nie pamiętam. Więc mnie zabrali – opowiada Tomek. – Do domu dziecka trafiłem, kiedy miałem 13 lat. Od razu zacząłem wariować. Wagary, ucieczki, braki w nauce. Dwa lata tak fikałem, aż umieścili mnie w zakładzie dla młodych gniewnych, pod ruską granicą. Byłem przerażony. Wielki zamek przy kościele, fajne widoki na okolicę i na tym fajne się kończyło. Było nas tam chyba dwieście osób. Moja agresja to pikuś. Innym jeszcze bardziej odwałało. Chodziło się na mety – fajki, wódka, dziewczyny. Wtedy ostro zacząłem się ciąć. Do dziś mam grube blizny na rękach.

Monika: Taka zła nie jestem

– W MOW-ie byłam trzy lata. Żeby się wyżyć i wypuścić złość, chodziłam na wszystkie możliwe zajęcia sportowe. Trochę się ogarnęłam. Zaczęłam się uczyć, byłam wzorową wychowanką. Na przepustki jeździłam do placówki opiekuńczo-wychowawczej w Gdańsku u państwa Wróblewskich. W końcu przeniesiono mnie tam na stałe. To był zupełnie inny świat! Wychowawcy mieli do nas fajne podejście, czuliśmy, że im zależało. Tam poznałam wychowawczynię panią Anię. Wychowanków MOW-ów zazwyczaj spisywano na straty. A ona od początku mówiła, że taka zła to wcale nie jestem, że sobie ze wszystkim poradzę, że mam to coś i wszystkim jeszcze pokażę. Miałam plany. Chciałam pójść do szkoły wojskowej, nigdy nie zakładać rodziny, tylko zostać w armii i służyć krajowi.

Ale wdałam się w toksyczny romans. Uciekałam. Ostro imprezowałam. Przez kilka miesięcy szarpałam się z życiem. I wtedy okazało się, że jestem w ciąży. Jak zobaczyłam wynik testu, zemdlałam. Miałam 16 lat i zupełnie nie wiedziałam, co robić. Gdyby nie wsparcie pani Ani, nie poradziłabym sobie z tym wszystkim.

Marianna i Piotr: Szukacie pedagoga czy gosposi?

Marianna: – Pracowałam w samorządzie, w departamencie europejskiego funduszu społecznego. Myśmy z Piotrem mieli ideę, a tam była jedynie stabilna pensja. Odeszłam. I szybko okazało się, że jestem w trzeciej ciąży.

Fundacja nie miała żadnych pewnych pieniędzy. Ale szukaliśmy partnerów, funduszy na remonty i wyposażenie domów. Efekt? Już w listopadzie 2007 roku przyjęliśmy do przygotowanego przez nas domu pierwsze 14 dzieci. Szukaliśmy też nowej, nieskażonej starym myśleniem kadry.

Piotr: – „W ogłoszeniu było, że szukacie pedagoga, a po rozmowie mam wrażenie, że chodzi wam o gosposię”, dziwili się. Tak. Wychowawcy mieli stać się mentorami i towarzyszami. Nie wspierać myślenia: „Zostałem porzucony, świat jest niesprawiedliwy, inni spieprzyli mi życie”.

Ale: „Mam wpływ na swoje życie. Jestem tu, gdzie jestem, ale mogę to zmienić”.

Wielu osobom z kadry pedagogicznej dużego domu dziecka, zrzeszonej w związku nauczycielskim, ruszenie starego systemu nie było na rękę. Ślali donosy. Nawet CBA miałem na karku. Ale robiliśmy swoje. Do 2011 roku fundacja otworzyła w Gdańsku sześć kameralnych domów dla 14 dzieciaków każdy. To był koniec dużego bidula w Gdańsku. Również w całej Polsce rozpoczął się proces likwidowania molochów.

Marianna: – Dzięki naszemu doświadczeniu w innych miejscowościach sprawniej to szło. Do fundacji wciąż zgłaszają się inne powiaty na konsultacje.

Piotr: – Budynki wynajmujemy na wolnym rynku albo otrzymujemy z zasobów komunalnych miasta. Dzięki darczyńcom oraz funduszom z różnych projektów mogliśmy te domy wyremontować i wyposażać tak, by dzieci żyły w przyjaznych warunkach.

Marianna: – Za utrzymanie domów płaci miasto, ale to starcza na pensje dla pracowników, jedzenie i media. A około 70 procent naszych wychowanków jest w terapii i psychologicznej, i medycznej. Poza tym dzieci chcą mieć fajne buty czy pojechać na wakacje. Szukamy więc dodatkowych źródeł finansowania.

Tomek: Fifarafa

Tomek: – Jak tylko skończyłem 18 lat, od razu musiałem wyjść z domu dziecka. Poczułem się fifarafa, taki dorosły. Wsiadłem do pociągu i pojechałem do domu, do mamy. No bo gdzie indziej? Od razu się stoczyłem. Imprezy, picie. Jeden kolega miał mały teatrzyk, z którym występował w centrach handlowych. U niego miałem dorywczą robotę. Dwa lata tak bimbałem, aż poznałem Iżę. Chodziłem wtedy do szkolnej stołówki na obiady, bo gdzieś musiałem jeść. Iza odbywała w kuchni praktyki zawodowe. No i tak się zaczęło.

Iza: – W strasznych warunkach mieszkałeś.

– W piwnicy. Miałem problemy z mamą, bo za dużo balowałem. Żeby mieć spokój, zamieszkałem w piwnicy. Iza też jest z domu dziecka. Jak do niego trafiła, miała osiem lat. Dwuletnia siostra szybko poszła do adopcji, a ona, ponieważ jest niepełnosprawna w stopniu lekkim, była skazana na system.

– Na jedno oko nie widzę. Jedną nogę mam krótszą, powykrzywiany kręgosłup i częste bóle w klatce piersiowej. Kto by taką chciał?

– Ja cię chciałem.

– Chciałam wyjść z domu dziecka. Mieliśmy razem zamieszkać. Dostałeś pracę, a oni ci nie zapłacili.

– Oszukali mnie w tej stoczni. Nie miałem żadnej umowy o pracę. Zobaczyli takiego leszcza, przed bramą dali 300 złotych i do widzenia.

– Zrobiłam praktyki, skończyłam zawodówkę, stuknęła osiemnastka. Opuściłam dom dziecka. Poszłam do taty, nie miałam innego wyjścia. Raz mnie wyrzucał, raz przyjmował. Strasznie pił.

– Ja w tym czasie jeździłem po Polsce i budowałem sklepy Diverse'a. Kiedy robota się skończyła, zabrałem Izę od ojca. Wynajęliśmy w Gdańsku kawalerkę.

– Fajnie tam było.

Marianna i Piotr: Dlaczego idą na dno?

Marianna: – Na konferencjach i seminariach branżowych byliśmy prekursorami zmian w pracy z usamodzielniającymi się wychowankami. Mówiliśmy o potrzebie ich aktywizacji zawodowej. Słyszeliśmy komentarze: „Przecież w szkołach są lekcje przedsiębiorczości. To wystarczy”. Czyżby?

Piotr: – Załatwiłem kilku chłopakom rozmowy kwalifikacyjne do pracy wakacyjnej w Castoramie. Wchodzę do biura dyrektora, rozmawiam miło, grzecznie – a młodzież? Rozwalają się na krzesłach, noga na nogę jak prezesi, z gumą do żucia w buzi. „A tutaj autobus dojeżdża?” – pyta jeden. „A na tym parkingu słońce świeci, to przecież ciężka praca” – rzuca drugi. „A ile będzie płatne?” – żując, pyta trzeci. Zrobiłem się fioletowy ze wstydu. Na szczęście dyrektor powiedział, że on na co dzień widzi to samo. Chłopaki nie wypadli tak źle, jeden dostał pracę na kasie, a drugi chodził po sklepie w kamizelce „Pomogę zapakować”.

Marianna: – Olśniło nas wtedy. Powiedzieliśmy sobie: „Hej, trzeba się tym zająć”. Nasza kadra widziała, że młodzi mają ogromny potencjał, a mimo to często szli na dno. Zleciliśmy socjologom zbadanie sytuacji usamodzielnionych wychowanków. Raport przygotowany przez Pracownię Realizacji Badań Socjologicznych UG potwierdził nasze obserwacje: osoby, które wychodzą z pieczy zastępczej, częściej niż inni mają gorszą pracę, są oszukiwane, pracują dorywczo, mają gorszą sytuację rodzinną, mieszkaniową i finansową. Szczególnie ci, którzy wracają do rodzin biologicznych. Stawali się albo zbawcami, którzy brali na siebie utrzymanie rodziny i często także spłatę długów, albo w krótkim czasie szli na dno. Musieliśmy jasno powiedzieć, że placówki źle przygotowują młodych ludzi do dorosłości. „Jak to źle? – znowu słyszeliśmy na konferencjach. – Przecież nie macie już biduła!”.

Monika: Wychować czy oddać?

– Miałam 16 lat i musiałam podjąć jedną z ważniejszych decyzji w życiu: wychować dziecko czy oddać do adopcji? Dyskutowali o tym i wychowawcy, i pracownicy MOPR-u. Pamiętam zebranie, na którym siedziałam na środku pokoju i w milczeniu słuchałam, jak wszyscy tłumaczyli mi, czym jest życie. Jeden facet zapytał: „Po co ona ma to dziecko przy sobie zostawiać, jak i tak nie da rady i zaraz je zabiorą?”. Wkurzyłam się: „Tak? To zobaczymy!”, i wybiegłam z sali.

Wiedziałam, że muszę się ogarnąć. Zaczęłam się uczyć. W ciąży zaliczyłam drugą i trzecią klasę gimnazjum plus uczyłam się do egzaminów końcowych. Dla dziecka sama wszystko

załatwiłam, wózek, ubranka, łóżeczko. Wystawiłam ogłoszenie na portalu Trojmiasto.pl i od ludzi dostałam potrzebne rzeczy.

Kiedy urodziłam Kacpra, nie było łatwo uczyć się i być młodą mamą. Pomagali opiekunowie. Mówili: „Zostaw nam dziecko, idź się wykąp, prześpij”. Bo na początku byłam zosią samosią. Jedną ręką bujałam wózek, drugą smażyłam naleśniki. Po jakimś czasie nauczyłam się przyjmować pomoc.

Tomek: Załamanie

Tomek: – Byłem zrezygnowany i nie umiałem konsekwentnie chodzić do pracy.

Iza: – Nie wstawał do roboty. Ja mu rano kawa, kanapki, a on nic. Wkurzające.

Tomek: – Głupio się zachowywałem. Szybko zaczęły się problemy finansowe. Wzięliśmy pożyczkę. Na dowód osobisty. Nie zapaliła mi się lampka, że trzeba będzie ją spłacić. Jeździłem na gapę i olewałem płacenie mandatów. Długi rosły. Nie mieliśmy na czynsz. Iza zaszła w ciążę, a nas wyrzucono z mieszkania. Ja wróciłem do matki, Iza do ojca. Żyłem w kartonach, na klatce schodowej. W ogóle nie miałem w głowie, że będziemy rodzicami i trzeba się ogarnąć. Ale kto miał mnie nauczyć odpowiedzialności?

W 32. tygodniu ciąży Iza urodziła martwe dziecko. Po stracie nic już nas nie interesowało. Siedzieliśmy u ojca Izy w ciasnym pokoju, w depresji, zasłony zasłonięte cały czas. Chyba przez dwa lata żyliśmy na krawędzi. Schemat był zawsze taki sam: ogarniałem się, wynajmowaliśmy pokój, nawałem i znowu się tułaliśmy. Do tego przyszła druga ciąża.

– Straciłam ją w 25. tygodniu – wtrąca Iza. – Podzieliło nas to bardzo.

– Potem znowu dno, lekkie odbicie, praca w teatrzyku, kolejna miejscówka. Trzecia ciąża. Tym razem dziecko nie umarło, ale postanowiliśmy oddać do adopcji. Co my mogliśmy wtedy? Nic.

Marianna i Piotr: Pierwsza przymiarka

Marianna: – W fundacji wiedzieliśmy, że plan usamodzielniania powinien zaczynać się z chwilą wejścia dziecka do placówki, a nie na rok przed jej opuszczeniem, jak było dotychczas.

Piotr: – Zwróciliśmy się do ludzi z biznesu. I tak między innymi wspólnie z firmą LPP stworzyliśmy projekt „Pierwsza przymiarka”. Wszyscy chętni wychowankowie zostali przeszkoleni przez specjalistów z ich działu HR z pisania CV, szukania ogłoszeń, prezentowania się na rozmowie rekrutacyjnej. To były całodienne warsztaty: scenki rodzajowe, ćwiczenia z autoprezentacji i kontaktu z klientem, pracy w zespole. Dużo dobrej zabawy, ale przede wszystkim konkretnej wiedzy. Co ważne, po prawdziwej rozmowie rekrutacyjnej w LPP nawet jeśli ktoś nie dostał pracy, otrzymywał informację zwrotną, nad czym ma popracować i co zaważyło, że tej pracy nie otrzymał.

Były już trzy edycje projektu, dwie w Gdańsku, trzecia też w Warszawie, czwartą pokrzyżowała pandemia. Miejsc stażowych zawsze było 10, startowało średnio 15 osób, trzy do dziś pracują w LPP.

Marianna: – Wychowankowie nabrali pewności siebie. Co ważne, potworzyły się cenne sieci kontaktów między uczestnikami programu a pracownikami. I o to chodzi. Młodzież z domów dziecka nie może żyć w zamkniętym kręgu.

Piotr: – W pieczy zastępczej niektórych rzeczy doświadczają się na opak. Nasze własne dzieci tysiące razy widziały, jak mama i tata wychodzą do pracy. Rano dzwoni budzik, łazienka, śniadanie, kluczem zamyka się drzwi i tak dalej. W placówce dzieci nie widzą osób, które wychodzą do pracy, bo to do nich się przychodzi. Dlatego pojęcie abstrakcyjnego wychodzenia do pracy trzeba było urealnić.

W 2012 roku postanowiliśmy połączyć działalność biznesową i społeczną. Otworzyliśmy kawiarnię Kuźnia w Gdańsku-Oruni. Normalnie ktoś zatrudnia pracownika i mówi: „Super, że potrafi pani/pan robić kawę”. My mówimy: „Chodź, nauczymy cię”. Młodzież mogła zdobyć pierwsze doświadczenie, a przy okazji dorobić. To ważne, żeby móc pójść do kina czy na lody albo odkładać sobie na coś wymarzonego.

Marianna: – Fajnie działało. I znowu pojawiła się myśl: „Może zrobimy coś więcej?”. Po burzy mózgów w fundacji powstał pomysł hotelu odpowiedzialnego społecznie. Nie mieliśmy na to ani złotówki, więc zaczęło się szukanie partnerów. Od Gdańska dostaliśmy do remontu kamienicę z lat 30., w której kiedyś był komisariat policji. Duńska fundacja Velux oraz kilka prywatnych firm przekazało fundusze na remont. Przekształcenie komisariatu w trzygwiazdkowy hotel kosztowało w sumie 4 miliony złotych.

W 2015 roku pod szyldem fundacji otworzyliśmy So Stay, pierwszy społecznie odpowiedzialny hotel w Polsce. Oferujemy w nim 20 miejsc na płatnych stażach. Młodzi ludzie pod okiem doświadczonych pracowników uczą się pracy w kuchni, obsługi kelnerskiej oraz pracy w recepcji i w ramach serwisu pokojowego. Staż w hotelu trwa co najmniej trzy miesiące. Przychód generowany przez So Stay zasila programy społeczne, które realizujemy w hotelu.

W ciągu ośmiu lat firmy społeczne fundacji dały pracę łącznie 72 wychowankom.

Piotr: – Przedstawiciele Komisji ds. Zatrudnienia Parlamentu Europejskiego, którzy nas wizytowali, stwierdzili, że fajnie by było przenieść ten model biznesu do innych krajów, a nawet rozszerzyć na pozostałe grupy społeczne potrzebujące takiego wsparcia. Za stworzenie firmy społecznej, w której młodzi ludzie – przy wsparciu biznesu i władz samorządowych – mogą uczyć się samodzielności na rynku pracy, fundacja otrzymała wyróżnienie w programie Europejskiej Współpracy Terytorialnej URBACT.

Monika: Domek na działkach

– Skończyłam 18 lat. Namawiali, żebym została w domu, ale wynajęłam za małe pieniądze domek na działkach. Mieszkaliśmy tam półtora roku. Pracowałam jako pomoc kuchenna w knajpie na Stogach. Za pierwszą wypłatę kupiłam porządną pralkę i zrobiłam chrzciny. Pracowałam po 12-13 godzin. Syn w żłobku, a potem z opiekunką, bo mnie całymi dniami nie było. Na szczęście mogłam sobie na to pozwolić finansowo. Szefowa doceniała mnie jako pracownika.

Początkowo byłam bez prawa jazdy i samochodu. Wychodziłam z Kacprem po piątą z domu na tramwaj. Jechaliśmy prawie godzinę, potem kawałek na piechotę do żłobka i dalej do pracy. I tak codziennie. Miałam cały czas kontakt z państwem Wróblewskimi, więc wiedzieli, co się u mnie dzieje. Któregoś dnia pani Marianna zapytała: „Monika, co byś powiedziała na pracę w hotelu?”. Od razu się zgodziłam!

Jaka zmiana! Pracowałam od-do, miałam wolne weekendy i więcej czasu dla dziecka. Zaczęłam naukę w liceum zaocznym.

Marianna i Piotr: Zamieszkaj u siebie

Piotr: – Przez chwilę mieliśmy pomysł, by wychowankowie mogli i pracować, i mieszkać w hotelu, ale to nie było najlepsze rozwiązanie. Pomyśleliśmy: „A może uda się znaleźć mieszkania w mieście”?

Pozyskaliśmy pieniądze z Funduszy Norweskich. Napisaliśmy projekt „Zamieszkaj u siebie”. Miasto bezpłatnie, na określony czas, użyczyło nam dwa mieszkania komunalne. Norwegowie sfinansowali remont. W 2015 roku dostaliśmy pieniądze z programu firmy Lotos „Pomaganie przez tankowanie”. Z dwóch mieszkań zrobiło się 12. Wszystkie użyczone przez miasto, możemy z nich nieodpłatnie korzystać.

Marianna: – Cztery są przeznaczone dla osób, które kieruje do nas MOPR. Kandydat potrzebuje rekomendacji, np. od wychowawcy, urzędnika miejskiego albo swojego pracodawcy, musi uargumentować, po co mu to mieszkanie, jaki cel pomoże mu osiągnąć, oraz zobowiązać się, że będzie o nie dbać i je utrzyma. Drobne prace eksploatacyjne robią mieszkańcy. Kiedy ktoś opuszcza mieszkanie, musi zostawić je w takim samym stanie, w jakim było, gdy się wprowadził.

Piotr: – Najmłodszy lokator ma 18 lat, najstarszy 28. Mieszkania mają od 30 do 70 metrów. Przydzielane są jednej osobie, parze albo całej rodzinie. Nasi mieszkańcy płacą za nie jedną trzecią średniego czynszu na wolnym rynku. Bywa, że jeśli mieszkanie nie zapłaci rachunków, bo coś u niego poszło nie tak, to na fundację spada ciężar uregulowania zaległości. Mieliśmy już takie sytuacje. Jednym z warunków umowy jest bliska współpraca ze specjalistą z fundacji.

Ewa: Słoiki

Ewa Patyk jest specjalistką wsparcia w projekcie „Zamieszkać u siebie”. – Gdy młody człowiek wyprowadza się z domu rodzinnego, a potem przyjeżdża w odwiedziny, często dostaje a to jajka, a to kielbasę, a to zupę w słoiku. Nasi młodzi nie mają słoików, a gdy potrzebują pieniędzy, pożyczają w Bocianie. Dostają tysiąc, muszą spłacić pięć. Często nie mają innego wyjścia i nie wiedzą, że można inaczej. My staramy się być dla nich tymi słoikami. Żeby w momentach kryzysu mogli jak najszybciej stanąć na nogi.

Nikogo nie wyręczamy. Jak ktoś nie ma butów na zimę, to ich nie dajemy. Lepiej wspólnie pomyśleć, jak na te buty zarobić albo jak znaleźć miejsce, w którym można je zdobyć. Uczymy, jak korzystać z tego, co jest na rynku. Jeśli ktoś potrzebuje terapii, wspólnie szukamy, jakie na terenie Gdańska są możliwości.

Pracujemy z każdą osobą indywidualnie na podstawie jej planu usamodzielniania i celów. Często to są rzeczy typu: chcę być niezależny, bezpieczny, mieć rodzinę. Wspólnie zastanawiamy się, co te słowa znaczą. Jeśli chcesz być samodzielny, po czym poznasz, że już jesteś? Czy chodzi o własne mieszkanie, spłatę długów czy może o oszczędności? A może celem jest brak kuratora i odzyskanie pełnych praw rodzicielskich? Albo zakończenie procesu terapeutycznego?

Młodzi ludzie są najczęściej w programie przez dwa lata. W tym okresie dochodzą do niezależności: uzyskują mieszkanie z zasobów gminy, odkładają wkład na kredyt, wyjeżdżają za granicę albo wynajmują coś na wolnym rynku. Niektórzy szybciej odchodzą. Ale jeśli ktoś zmienia zdanie, może do fundacji wrócić. Prowadzimy w fundacji różne projekty społeczne, więc możemy szukać rozwiązań. Opcje są.

Monika: Czy to się dzieje naprawdę?

– Pamiętam dzień, w którym dostałam propozycję mieszkania wspieranego. Sprzątałam hol, gdy pani Marianna powiedziała, że mają dla mnie mieszkanie. Najpierw przez 10 minut ryczałam, a potem wydarłam się z radości. Chyba wszyscy goście mnie słyszeli.

Musiałam podpisać umowę, systematycznie płacić czynsz i media, dbać o wszystko. Nikt mnie nie kontrolował. Tylko od czasu do czasu spotykałam się z osobą wyznaczoną przez fundację i rozmawialiśmy, w czym potrzebuję pomocy i jak sobie radzę.

Miałam dla siebie i syna dwa niewielkie puste pokoje, kuchnię, łazienkę i elektryczny piec, który zimą często się psuł. Dla mnie to było bardzo dużo.

Z wyposażeniem mieszkania pomogli państwo Wróblewscy. Któregoś wieczoru pojechaliśmy na zakupy. Kupili mi łóżko, stół, krzesła, szafę, lampy, dywany. Cały czas słyszałam: „Wybierz to, co ci się podoba”. Czułam się jak w bajce. Chodziłam między półkami i myślałam: czy to się dzieje naprawdę?

Meble do kuchni, pokoju dziennego, garnki, talerze kupiłam z odłożonych pieniędzy. Pamiętam moment, gdy weszłam do mieszkania i zaciągnęłam się zapachem drewna świeżo poskręcanych mebli. Pierwszy raz w życiu czułam się bezpieczna.

Tomek: To mnie obudziło

– Kiedy Iza była w czwartej ciąży, z naszym synem Kubą, byłem w agonii alkoholowej. W ogóle nie trzeźwiałem. Kolega od teatrzyku się przejął, opowiedział o mnie pani Mariannie i umówił na spotkanie. Poszedłem z nią na spacer, przedstawiłem naszą historię. „Zobaczmy,

co da się zrobić”, powiedziała. Cztery dni później rozmawialiśmy z ludźmi w fundacji. Okazało się, że znają Iżę, bo mieszkała w domu, którego pan Piotr był dyrektorem. Pamiętam, że siedzieliśmy przy wielkim, okrągłym stole, a mnie ciągle trzęsły się ręce.

Dwa dni później wszedłem już do mieszkania. Kiedy je zobaczyłem, popłakałem się ze szczęścia. Dwa małe pokoje, ciasna łazienka i kuchnia. Nieciekawa okolica, domy brzydkie, ale mieliśmy gdzie mieszkać. Mało płaciliśmy. No rarytas. Ale przyszły mrozy. Ogrzewanie na prąd. I dramat, bo w dwa miesiące nabiliśmy opłat na 2 tysiące i nie było z czego płacić.

Znowu wpadłem w cug. Raz tak się rzucałem, że przyjechała policja i zabrała mnie na wytrzeźwialkę. Obudziłem się na cuchnącym materacu i kątem oka zobaczyłem gołego faceta. Stał na środku celi i sikał na podłogę. Pomyślałem: „Dość, nie chcę tak skończyć”.

Iza: – Dostaliśmy kolejną szansę. Od dwóch lat jest lepiej.

Tomek: – W fundacji bardzo nam pomogli. Uczyli nawet takich głupich rzeczy jak opłacanie rachunków, odczytywanie liczników, wypełnianie urzędowych dokumentów. Rachunki za ogrzewanie rozłożyli na raty, a co najważniejsze, udało się im przy współpracy z urzędem miasta przenieść nas do innego mieszkania, gdzie ogrzewanie nie było już problemem.

Ale ciągle mam kilkadziesiąt tysięcy długów. Nie założyłem sobie konta, bo boję się, że komornik by mi wszystko zabrał. Chcemy wyjść z zadłużenia, ale nie dam rady spłacić sam.

Iza nie pracuje ze względu na niepełnosprawność. Bardzo się staram. Mam stałą pracę, naprawiam dachy, żadne tam dorywcze zapchajdziury. Syn chodzi do przedszkola. Nie mam czasu na żadnych kumpli. Wstaję codziennie o piątej rano i idę do pracy. Nie ma to tamto. Mam superszefa. Iza, ile my już naprawiamy te dachy?

– Rok temu, kiedy straciliśmy córkę, to już pracowałeś. Rok i siedem miesięcy będzie.

– Chcieliśmy tego dziecka. Byliśmy przygotowani. Szczęśliwi. Ale córka zmarła w 27. tygodniu ciąży. Tym razem nie pociągnęło nas to na dno. Mamy Kubę, mieszkanie, pracę, dostaliśmy wsparcie psychologiczne z MOPR-u, więc było lżej. Nie jesteśmy łatwą rodziną do pomocy. Sam bym się zmęczył z kimś takim jak my, ale mimo to fundacja z nas nie rezygnuje. Teraz staramy się o mieszkanie komunalne i też nam pomagają. Naprawdę przejmują się innymi.

Kiedy wyszedłem z domu dziecka, od razu dostałem z bomby i musiałem radzić sobie sam. Byłem agresywnym psem spuszczonego ze smyczy. Nie wiedziałem, że kiedyś będę w takim miejscu jak dziś.

Monika: Zrobisz, co zechcesz

W 2016 roku poznałam mojego narzeczonego, również z bagażem życiowym i z ogromną potrzebą zmiany życia na lepsze. Do dziś jesteśmy razem i wychowujemy wspólnie trójkę dzieci. On mojego syna, ja jego córkę. Razem mamy córeczkę.

Z pracy z hotelu odeszłam po drugiej ciąży. Założyłam firmę, sprzątałam biura i mieszkania. W czasie pandemii musiałam zawiesić działalność. Dziś pracuję w urzędzie miasta. Chciałabym zostać tam dłużej. To często interaktywna praca z ludźmi, a nie siedzenie za biurkiem. Trzeba pojechać, pogadać, załatwić. Bardzo mi to odpowiada. Uczę się dalej jako technik administracji. Przyda mi się to w pracy.

Mamy kilkoro dobrych znajomych, takich, na których możemy liczyć. Są ogarnięci życiowo, bez nałogów, mają rodziny, pracę. Jesteśmy na liście do mieszkania komunalnego, pilnujemy terminów. Robię wszystko, by nasze dzieci miały lepszy start niż ja.

Czasem moi byli wychowawcy proszą, żeby któremuś z podopiecznych przemówić do rozsądku. Mówię: „Stary, nie możesz się tak zachowywać. Masz ciepło, jedzenie, swój pokój. Tu są ludzie, którym na tobie zależy, i możesz się wiele od nich nauczyć. Skorzystaj z tego. Jak będziesz dorosły, to zrobisz ze swoim życiem, co zechcesz”. Wracam do domu i myślę: „Jeny, ja też się tak zachowywałam, ale wstydl!”.

Ewa: Radzą sobie

– Od 2016 roku objęliśmy projektem mieszkaniowym 52 osoby. 28 to wychowankowie pieczy zastępczej, reszta to ich partnerzy oraz dzieci. 23 z 28 wychowanków ma stałą pracę, w tym kilkoro prowadzi własną firmę, trzy osoby jeszcze się uczą. Tylko trzy osoby naruszyły warunki umowy i zerwały z nami kontakt.

Wiemy, że osoby, które opuściły program i dostały mieszkanie od gminy, nadal je mają, nie są zadłużone. To istotne, bo poziom zadłużeń wśród lokatorów mieszkań komunalnych jest wysoki.

Osoby, które skorzystały z mieszkania wspomaganego i dostały pracę w naszych firmach społecznych, w stu procentach radzą sobie w samodzielnym życiu.